



JEGO WŁASNOŚĆ

Ma u niego dług.
Dopóki go nie spłaci, należy do niego...

LUDKA SKRZYDLEWSKA

Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiejkolwiek postaci jest zabronione. Wykonywanie kopii metodą kserograficzną, fotograficzną, a także kopiowanie książki na nośniku filmowym, magnetycznym lub innym powoduje naruszenie praw autorskich niniejszej publikacji.

Wszystkie znaki występujące w tekście są zastrzeżonymi znakami firmowymi bądź towarowymi ich właścicieli.

Niniejszy utwór jest fikcją literacką. Wszelkie podobieństwo do prawdziwych postaci — żyjących obecnie lub w przeszłości — oraz do rzeczywistych zdarzeń losowych, miejsc czy przedsięwzięć jest czysto przypadkowe.

Redaktor prowadzący: Justyna Wydra

Projekt okładki: Justyna Sieprawska

Zdjęcie na okładce wykorzystano za zgodą Shutterstock.

Helion S.A.

ul. Kościuszki 1c, 44-100 Gliwice

tel. 32 230 98 63

e-mail: editio@editio.pl

WWW: <https://editio.pl> (księgarnia internetowa, katalog książek)

Drogi Czytelniku!

Jeżeli chcesz ocenić tę książkę, zajrzyj pod adres

<https://editio.pl/user/opinie/jegowl>

Możesz tam wpisać swoje uwagi, spostrzeżenia, recenzję.

ISBN: 978-83-283-9373-8

Copyright © Helion S.A. 2023

Printed in Poland.

- Kup książkę
- Poleć książkę
- Oceń książkę

- Księgarnia internetowa
- Lubię to! » Nasza społeczność

Rozdział 1

Zawsze miałam pecha do facetów.

Na początek do mojego ojca, który pierwszy raz trafił do więzienia, gdy byłem jeszcze dzieckiem, a później wracał tam regularnie, aż matka rozwiodła się z nim i nam obu zmieniła nazwisko na swoje panińskie. Potem do mężczyzn, którzy albo okazywali się gejami, albo nie potrafili dochować wierności. A na koniec do szefów uprzykrzających mi życie do tego stopnia, że założyłam własny biznes. Na jakiś czas dałam więc sobie spokój ze związkami, kiedy jednak trafiłam na Kierana, odniosłam wrażenie, że los wreszcie się do mnie uśmiechnął. Że poznałam normalnego, fajnego faceta kochającego mnie tak bardzo, że nawet się oświadczył. Chociaż znaliśmy się dopiero rok, byłam przekonana, że coś z tego wyjdzie. Aż do dnia, gdy do mojego biura wpadło dwóch osiłków i groziło mi bronią.

Ale zacznijmy od początku.

— To na pewno nic takiego — mówi beztrosko Stella, wyjadając łyżeczką piankę z cappuccino. Siedzimy przy jednym z trzech stolików w niewielkiej kawiarni usytuowanej w połowie drogi między naszymi biurami. — Może zabalował i leczy kaca?

Przewracam oczami, nerwowo przesuwając komórkę po blacie.

Tak, to na pewno nic takiego, przekonuję sama siebie, jednak dość bezskutecznie.

Zbyt mocno przypominają mi się wydarzenia z przeszłości. Te sytuacje, kiedy faceci odchodzili ode mnie bez słowa, bo „się znudzili” lub „poznali kogoś, kto bardziej do nich pasuje”. W tym ostatnim przypadku okazało się, że był to inny mężczyzna, ale fakt, że mój partner okazał się bi, naprawdę nie miał znaczenia, skoro równocześnie dowiedziałam się o jego zdradzie.

— Od czterech dni? — pryham z niedowierzaniem. — Nie odzywał się od czterech dni. Jutro powinien wrócić do miasta, a mam dziwne wrażenie, że to się nigdy nie stanie.

— Chryste, jaka z ciebie pesymistka, Bronte. — Stella wzdycha głęboko, po czym upija łyk kawy. — Może potrzebuje po prostu trochę przestrzeni? Albo zgubił telefon.

Tak, z pewnością nie mógłby do mnie zadzwonić, gdyby zgubił telefon, przemyka mi przez głowę.

Niestety ta kąśliwa uwaga nie pomaga wobec świadomości, że najwyraźniej zostałam porzucona przez narzeczonego.

Tydzień temu Kieran wyjechał służbowo do Kalifornii. Na pożegnanie obiecał, że będzie pisał i dzwonił jak najczęściej. Od tamtego czasu odezwał się raz, a wszystkie moje próby kontaktu pozostały bez odpowiedzi. Ma wyłączoną komórkę i nie odpisuje na maile. Nie mogę nawet złapać go przez social media, bo prawie z nich nie korzysta. Wcześniej wydawało mi się, że brak konta na Facebooku czy w innych portalach jest słodki, natomiast teraz zaczynam się zastanawiać, czy jednak nie bardziej podejrzany.

Nie chce mi się wierzyć, że Kieran mógłby mnie olać. Znamy się od roku, jesteśmy razem, zaręczyliśmy się. Zajmujemy moje mieszkanie na Manhattanie. Dlaczego miałby tak po prostu przestać się odzywać?

— Tak, może potrzebuje przestrzeni — odpowiadam po chwili z roztargnieniem, podświetlając ekran telefonu.

Zero nowych wiadomości.

Sama nie wiem, czy bardziej martwię się o narzeczonego, czy o to, że może znowu zostałam wyrolowana. Mój gust, jeśli chodzi o facetów, jest fatalny, ale Kieran miał być dowodem na to, że złą passę można przerwać.

Teraz zaczynam mieć wątpliwości, czy faktycznie da się to zrobić.

Stella przygląda mi się z troską znad filiżanki. Choć ma ponad czterdzieści lat, wydaje się dużo młodsza — wolę nie wiedzieć, czy to dzięki dobremu genom, dobremu makijażowi, czy dobremu chirurgowi plastycznemu. Obie jesteśmy dosyć wysokie i szczupłe, nosimy się również podobnie elegancko, ale różnimy się pod względem wyglądu: Stella to lekko opalona, platynowa blondynka o szaroniebieskich oczach skrytych za szklami okularów, ja natomiast odziedziczyłam po ojcu urodę typowego rudzielca z piegami, o bardzo jasnej karnacji i zielonych oczach.

Gdy idziemy we dwie ulicą, mężczyźni często się za nami oglądają, ponieważ stanowimy dla siebie ciekawy kontrast.

Stella od lat jest moją najlepszą przyjaciółką. I właśnie z nią najbardziej lubię współpracować. To kobieta, której można powierzyć wszystkie sekrety, bo nigdy nikomu ich nie zdradzi. Jest do bólu lojalna i kocha mnie jak własną siostrę, a ja kocham ją. Mam zdecydowanie większe szczęście w przyjaźni niż w związkach.

Stella prowadzi jeden z domów aukcyjnych na Manhattanie. Często pomagam jej wyceniać dzieła sztuki i pośredniczę w rozmowach z prywatnymi kolekcjonerami. Ostatnie kilka lat było szalone, jeśli chodzi o moje życie biznesowe, ale dzięki temu tuż przed trzydziestką jestem całkowicie samodzielna, mogę wybierać te zlecenia, które mi odpowiadają, mam świetnie rozwiniętą siatkę kontaktów i wygodne mieszkanie na Manhattanie. Nawet biorąc pod uwagę brak szczęścia do facetów, uważam, że moje życie jest dobre.

— Przestań się tym zadręczać. — Stella macha ręką, pokazując w ten sposób, jak niewiele dba o mojego narzeczonego. — Będzie chciał, to wróci, a jak nie, to jego strata. Z przyjemnością umówię cię na kilka randek, jeśli uznasz, że masz dość czekania.

Śmieję się, kręcąc z niedowierzaniem głową.

— Jeszcze nie postawiłam krzyżyka na Kieranie — protestuję. — A nawet gdybym to zrobiła, potrzebowałabym więcej czasu, żeby otrząsnąć się po rozstaniu. Nie jestem taka jak ty. Nie potrafię wsiąść na konia zaraz po tym, jak z niego spadnę.

— A powinnaś czasami trochę pogalopować na tym koniu. — Stella puszcza do mnie oko. — Przydałoby ci się.

Posyłam jej potępiające spojrzenie, które kwituje radosnym uśmiechem.

Stella bardzo lekko podchodzi do tematu związków. Może dlatego, że trzykrotnie brała rozwód. Wiem, że w głębi duszy też pragnie spotkać faceta, z którym mogłaby się zestarzeć, jednak nigdy tego nie przyzna, ponieważ według niej romantyczność dawno wyszła z mody.

A ja? Nie wymagam miłości do grobowej deski. Chciałabym po prostu, żeby chociaż jakiś mężczyzna mnie nie rozczarował.

— Wiesz, że nie lubię przypadkowego seksu. — Wzruszam ramionami. Nie ściszam głosu, przez co moje słowa docierają do gościa przy sąsiednim stoliku i sprawiają, że krztusi się pitą właśnie kawą. Ledwie

zwracam na to uwagę. — Zresztą nie musimy rozmawiać o Kieranie ani o mnie. Jak tam przygotowania do aukcji?

— Świetnie. Wszystko dopięte na ostatni guzik. — Stella uśmiecha się z zadowoleniem. — Będziesz, prawda?

Zerkam na zegarek. Muszę kontrolować czas, żeby zdążyć do biura.

— Tak — mówię z roztargnieniem. — Za pół godziny mam spotkanie z tym klientem, który chce „coś nowoczesnego na ścianę w gabinecie”. — Znowu przewracam oczami. — Słowo daję, kiedyś zacznę przyjmować tylko tych, którzy w ankiecie odpowiedzą poprawnie przynajmniej na pytanie, kim jest Banksy. Umówiłam się na dzisiaj z tym palantem, po-
każę mu kilka propozycji.

— Oj, zaraz tam palantem. — Stella śmieje się w najlepsze. Moje oburzenie chyba ją bawi. — Na pewno ma inne zalety. Na przykład wypchany portfel.

— To z pewnością — pryham.

— Podobnie jak twój Kieran, prawda? — dodaje lekko, co sprawia, że spoglądam na nią czujnie. — Po tych trzech Basquiatach, które pomogłaś mu sprzedać.

To prawda, ale nie chcę o tym rozmawiać, bo widzę niepokojący związek między wpłynięciem pieniędzy na konto Kierana a jego zniknięciem. Stella jednak nie jest idiotką. Bez problemu kojarzy fakty.

— Uwierzysz, że każdy poszedł za prawie pięć milionów? — Ciągle trochę nie mieści mi się to w głowie. — Kto chciałby dać tyle kasy za taką prymitywną sztukę ulicy?

Było całkiem sporo chętnych, jak się okazało. Co właściwie nie powinno mnie dziwić, ponieważ doskonale zdaję sobie sprawę z cen, jakie osiągają tego typu obrazy.

— Pewnie znasz nazwiska nabywców. — Stella wzrusza ramionami. — Możesz sprawdzić.

— Aukcja była tajna. Brali w niej udział pośrednicy.

Dopijam kawę i znowu zerkam na zegarek. Miło jest spotkać się ze Stellą podczas przerwy w pracy, ale wtedy zawsze muszę kontrolować czas. Moi klienci nie byliby szczęśliwi, gdyby musieli długo na mnie czekać.

Czasami też do nich dojeżdżam. Jednak z tym znawcą sztuki nowoczesnej jestem umówiona na wideokonferencję, ponieważ obecnie przebywa w Dallas.

— Musisz uciekać, co? — domyśla się Stella. — Ja też. To kiedy widzimy się na drinku?

— W piątek? — proponuję. — Mam wolny wieczór, skoro, no wiesz, mój narzeczony nie daje znaku życia.

Może miał wypadek i leży w szpitalu, a ja od razu podejrzewam go, że mnie zostawił. Może jego samolot się rozbił, o czym nie wiem, bo mam w nosie aktualności zarówno z kraju, jak i ze świata? Może...

Dosyc, Dixon, rozkazuję sobie stanowczo. Po prostu odpuść. Kieran Lewiss z pewnością nie miał żadnego wypadku. Prędzej jest dupkiem, który tuszedł w tango na wyjeździe służbowym i zapomniał do ciebie zadzwonić.

Tak, to na pewno to.

— Jasne. Co powiesz na 1Oak? — Stella uśmiecha się z entuzjazmem.

— Och, i wezmę ze sobą Michaela. Co ty na to?

Rozpromieniam się.

— Tak! Dawno go nie widziałam. — Michael to nasz przyjaciel. Ostatnio zaangażował się w nowy związek i coraz rzadziej wychodzi z nami wieczorami, ponieważ jego chłopak okazał się domatorem. Każdą taką okazję należy odpowiednio czcić. — Imprezy z Michaeliem są najlepsze. Muszę już iść, ale dzdzwonimy się, dobra?

Przyjaciółka przytakuje, żegnamy się, po czym wychodzę z kawiarni prosto w jazgotliwy chaos Manhattanu.

Kocham to miasto. Uwielbiam jego tempo, zgiełk i to, że można się w nim zupełnie zagubić. Kocham tę totalną anonimowość, jaką mogę tutaj zachować, i świadomość, że gdy idę ulicą, nikt nie wytyka mnie palcem jako córki Ethana Harrisa, co notorycznie działo się w mieście, w której we wczesnym dzieciństwie mieszkałam z matką. Kiedy przeprowadziłyśmy się na Manhattan, gdy miałam dziesięć lat, stał się on dla mnie wybawieniem oraz kryjówką — i w pewnym sensie jest nimi do tej pory.

Macham na przejeżdżającą taksówkę i już po chwili podaję kierowcy adres biura. W tym samym momencie dostaję SMS-a — to przypomnienie od Kylie, mojej asystentki, o zbliżającym się spotkaniu. Na nią zawsze można liczyć. To profesjonalistka w każdym calu.

Właśnie dlatego dla mnie pracuje.

Zaglądam do kalendarza i wzdygam. Po wideokonferencji mam jeszcze trzy spotkania — dwa w domach aukcyjnych i jedno u klienta, prywatnego kolekcjonera, z którym regularnie współpracuję. Lecz wcale

nie przeszkadza mi fakt, że pewnie nie wrócę do biura przed szóstą. Przez lata rozczarowań mężczyznami nauczyłam się czerpać satysfakcję wyłącznie z pracy. Lubię to, co robię, i wiem, że jestem w tym dobra.

Tyle mi w życiu wystarcza.

Do biura wracam dopiero koło siódmej, Kylie jednak trwa na posterunku. Kiedy widzę ją siedzącą za biurkiem, robię zagniewaną minę.

— Jeszcze tu jesteś? Nie będę ci płacić za nadgodziny — żartuję.

Kylie to młodsza ode mnie o kilka lat drobna brunetka o nieśmiałym uśmiechu, studiująca zaocznie historię sztuki. Kiedyś chciałaby pracować w galerii albo domu aukcyjnym, ale na razie doskonale sprawdza się jako moja asystentka. Czasami jest wręcz zbyt obowiązkowa, tak jak dzisiaj, gdy zapomniałam wygonić ją wcześniej do domu.

— Uznałam, że na ciebie poczekam i przekażę ci plan na jutro — odpowiada, zbywając moją uwagę machnięciem ręki. — Potem mogę sobie iść, jeśli tak bardzo mnie tu nie chcesz.

Śmieję się, a następnie przechodzę do swojego gabinetu. Biuro znajduje się na dziesiątym piętrze budynku przy West 37th Street i powstało w niewielkim penthousie składającym się z dwóch pomieszczeń — królestwa Kylie i mojej jaskini. Urządziłam je tak, jak lubię: minimalistycznie, w szarościach i czerni, w industrialnym stylu, podobnie jak mieszkanie. Mam duże biurko, zza którego przez przeszkloną ścianę widać ulicę i budynki po drugiej stronie. Czuję się tu jak u siebie.

Kylie wchodzi za mną i zajmuje miejsce na szarej kanapie ustawionej przy ścianie. W ręce trzyma tablet, na którym klika coś zawzięcie, podczas gdy ja siadam w fotelu za biurkiem i odpalam laptopa.

— O dziesiątej masz spotkanie w Guernsey's — zaczyna. W tym samym czasie spoglądam w kalendarz. — Pamiętasz? To, o które prosił Patrick. Później, o dwunastą, lunch z panem J. Chyba chodzi o coś z rynku chińskiego.

Patrick jest właścicielem galerii, z którą współpracuję. Kiedyś nawet dla niego pracowałam i chciał mnie zatrzymać, gdy postanowiłam przejść na swoje, ale to nie mogło mu się udać. Pozostaliśmy jednak w przyjaznych stosunkach i Patrick czasami wciąż poleca mnie klientom, jeśli potrzebują opinii niezależnego eksperta.

— Wiem, o co chodzi — zapewniam. — Potem?

— O piętnastej jesteś umówiona u klienta w Great Neck — kontynuuje Kylie, po czym posyła mi łobuzerski uśmiech. — W jednej z tych posiadłości przy Dock Lane. Jakim cudem udało ci się to załatwić?

— To duże zlecenie. Potrzebują kogoś, kto oszacuje wartość ich kolekcji malarstwa modernistycznego — odpowiadam z roztargnieniem. — Patrick im mnie polecił. Chyba są jakimiś spadkobiercami. Napisz do nich maila i przypomnij, proszę, że nie dostałam jeszcze ostatniej części katalogu. Będzie mi łatwiej, jeśli przed spotkaniem zobaczę całość choćby na zdjęciach.

— Jasne, już wysyłam. Pewnie długo ci tam zejdzie?

— Ze trzy godziny — stwierdzam z namysłem. — Zanim wrócę do Nowego Jorku, będzie siódma. Możesz jutro skończyć wcześniej.

— Idealnie, bo mam randkę. — Kylie uśmiecha się radośnie.

Unoszę brew.

— Czyżbyś w końcu się zdecydowała i zagadała do tej twojej koleżanki z kursu?

— Tak! — Widzę, że aż ją nosi, żeby się pochwalić, dlatego zamykam laptopa i spoglądam na asystentkę wyczekująco. — Serena powiedziała, że czekała, aż się odezwę, i zamierzała dać mi jeszcze kilka tygodni, a potem sama coś zaproponować. Idziemy do Mood Ring.

— Bushwick? — dziwię się. — Nie macie żadnych sensownych barów w Astorii?

— Mamy, ale Serena mieszka w Bushwick. — Kylie mruga do mnie.

— Później mamy pójść do niej. Będzie bliżej, zrobimy sobie spacer.

Kiwam głową. Już wszystko rozumiem.

— To dobrze, że w sobotę nie będziesz mi potrzebna — pryham z rozbawieniem. — Baw się dobrze i pozdrów ode mnie Serenę.

— Oczywiście, że pozdrowię! — zapewnia Kylie, podnosząc się z kanapy. — Ona cię uwielbia, jest pod wrażeniem, ilekroć opowiadam o twojej pracy! Mam nadzieję, że kiedyś uda mi się was ze sobą poznać.

— Nie widzę przeciwwskazań — przytakuję bez namysłu. — Jeśli chcesz, ustaw nam jakiś lunch w przyszłym tygodniu. Mogę odpowiedzieć na każde jej pytanie, ale pamiętaj: jestem tylko rzeczoznawcą dzieł sztuki, nie Wonder Woman.

— W naszym świecie to niemalże to samo. — Śmieje się. — Do jutra!

Macham jej, kiedy wychodzi z gabinetu, a po chwili słyszę trzask drzwi wyjściowych. Nareszcie zostaję sama.

Ponownie otwieram laptopa, dochodząc do wniosku, że zamówię jedzenie do domu z biura, i zaczynam przeglądać strony ulubionych knajp. Jestem już niemal pewna, że zdecyduję się na sushi, kiedy nagle z gabinetu Kylie dobiegają jakieś dźwięki. Najpierw trzask drzwi, a potem głosy. Asystentka tam jest i wyraźnie z kimś się kłóci.

Wstaję z fotela i ruszam w jej kierunku. Po drodze przezornie chwytam torebkę, w której mam gaz pieprzowy. Gdy uchylam drzwi, zamieram na moment, bo dostrzegam Kylie szamoczącą się w uścisku dwóch napakowanych facetów w czarnych kurtkach oraz džinsach.

Nie jestem niska. W butach na dziesięciocentymetrowych obcasach mam prawie metr siedemdziesiąt osiem. Jednak tych dwóch, którzy trzymają moją asystentkę, i tak mnie przewyższa. Ale chociaż nie należę do najodważniejszych osób na świecie, nie mogę tego tak zostawić.

— Hej! — krzyczę ostro. — Puśćcie ją w tej chwili albo dzwonię na policję!

Jeden z drabów odpycha Kylie, aż ta się zatacza i o mało nie upada na podłogę. Chcę jej pomóc, ale drugi z intruzów nagle wyciąga spluwę. Ponownie zamieram.

Do tej pory oglądałam broń palną tylko w głupich filmach sensacyjnych. Pierwszy raz w życiu widzę ją na żywo. W dodatku jest wycelowana prosto we mnie.

— Bronte Dixon? — pyta facet z pistoletem takim tonem, że odruchowo mam ochotę zaprzeczyć.

Wiem jednak, że to mija się z celem. Są tutaj. Wystarczy, że zabiorą mi torebkę i znajdą prawo jazdy, aby poznać prawdę. Zostawię sobie kłamstwa na okazję, kiedy faktycznie będą mogły się do czegoś przydać.

— Oczywiście, w końcu jesteście w moim biurze — pryham. — Czego chcecie?

— Otrzymała pani zaproszenie od naszego szefa, pana Wolfe’a — odpowiada mężczyzna. — Naszym zadaniem jest dostarczyć panią na miejsce.

Uff, więc nie chcą mnie zabić, przelatuje mi przez głowę.

Następna myśl okazuje się nieco bardziej trzeźwa.

Kim, do diabła, jest pan Wolfe?!

— Nie przypominam sobie, żebym była z nim umówiona — mówię sztywno.

Drab uśmiecha się paskudnie.

— No to teraz już pani jest. Zapraszamy.

Kiwa głową na drugiego z napastników, który podchodzi bliżej, pewnie zamierzając chwycić mnie za ramię. Zasłania tamtemu linię strzału, dlatego nie waham się ani chwili: wydaję z torebki gaz pieprzowy i celuję nim w twarz mężczyzny.

Chociaż używam go pierwszy raz, nie mam większych problemów. Facet krzyczy, kiedy gaz dociera do jego oczu, i łapie się za twarz, zataczając się na bok. Próbuję dotrzeć do stojącej w kącie przerażonej Kylie, ale wtedy doskakuje do mnie ten z pistoletem.

Nie zdążam się uchylić. Wszystko dzieje się zbyt szybko. Widzę tylko, jak bierze zamach, a w następnej chwili w mojej twarzy eksploduje taki ból, że upadam ciężko na podłogę. Uderzam się w biodro i chwytam za policzek, w który mężczyzna chlasnął na odlew dłonią. Czuję na języku smak krwi. Wygląda na to, że rozciął mi wargę, sądząc po tym, jak usta pulsują ostrym bólem.

— Kurwa! Ta suka psiknęła mi w oczy gazem pieprzowym! — drze się tamten, miotając się po pokoju.

Mężczyzna z pistoletem staje nade mną i wzdycha.

— To idź do toalety i przemyj je wodą, debil. Sam jesteś sobie winien, skoro nie byłeś ostrożny — poleca, po czym pochyla się w moim kierunku. Usiłuję się odsunąć, jednak nie mam szans. Gość łapie mnie za ramię, brutalnie stawia na nogi i oznajmia: — Sugeruję, żeby zachowywała się pani nieco grzeczniej. Szef nie lubi, kiedy jego goście sprawiają problemy. A proszę mi wierzyć, lepiej nie wkurwiać pana Wolfe’a.

Kylie zaczyna protestować, gdy facet ciągnie mnie w kierunku wyjścia, ale kręcę głową. W torebce mam telefon komórkowy, może uda mi się jakoś wezwać pomoc.

A może ci mężczyźni wcale nie chcą mnie obrabować, zgwałcić i zabić, nawet jeśli grozili mi bronią palną.

Jasne. Kogo ja próbuję oszukać?

Kiedy opuszczamy budynek, dochodzę do wniosku, że chyba już za późno, by nie wkurwiać pana Wolfe’a, jak to powiedział jeden ze zbiorów. Bo skoro pan Wolfe — kimkolwiek jest — zdecydował się na wysłanie do mnie takiego komitetu powitalnego, to zapewne zdążyłam mu podpaść.

Ciekawe tylko, w jaki sposób.

Rozdział 2

Auto, którym jedziemy w bliżej nieokreślonym kierunku, jest naprawdę wygodne. Pachnie nowością, a poza tym skórą, co uwielbiam. Spodziewałam się, że w samochodzie takich zbirów będzie raczej śmierdziało papierosami albo fast foodem, ale nic z tego.

Sama nie wiem, jak to jest, że zamiast panikować, zastanawiam się nad zapachem auta i fakturą kanapy, na której siedzę. Chociaż jestem zaniepokojona, a serce wali mi jak szalone, na zewnątrz pozostaję spokojna.

Zabrali mi torebkę, kiedy tylko wsiadłam do samochodu. Nie ma więc mowy o zawiadomieniu policji. Wyglądam przez okno, za którym przejeżdżają kolejne ulice Manhattanu — chyba kierujemy się na południe — i z każdą chwilą jestem coraz bardziej zirytowana tą sytuacją.

Tak, zirytowana, a nie przerażona. Wkurzona, że jakiś zbir celował do mnie z broni i że zostałam porwana, podczas gdy jestem zmęczona po całym dniu pracy, głodna i w dodatku krwawi mi warga.

— Czy teraz możecie powiedzieć, gdzie jedziemy? — pytam głośno, starając się nadać głosowi nieznoszący sprzeciwu ton.

Kierowca ogląda się przez ramię, po czym prychna lekceważąco.

— Już pani mówiliśmy: na spotkanie z naszym pracodawcą.

— A czego konkretnie chce ode mnie wasz pracodawca? — dociekam.

— Wszystkiego dowie się pani w swoim czasie — mamrocze ten z fotela pasażera. I tak jest bardzo uprzejmy, zważywszy na fakt, że to jemu psiknęłam w oczy gazem pieprzowym.

Rozglądam się dookoła. Nie dam rady uciec, bo drzwi są pozamykane. Mogłabym wybić szybę, ale nie mam czym. Poza tym skoro znaleźli mnie w pracy, jaką mam gwarancję, że nie przyjdą do mojego domu?

Tylko co robić? Iść na policję? Nie wiem, kim są. Poznałam jedynie nazwisko ich pracodawcy. Nie mam pojęcia, czego ode mnie chcą ani

czy policja byłaby w stanie pomóc. Ci faceci wyglądają na profesjonalistów.

— Czyli co, nie wiecie? — pytam zaczepnie. — Jesteście chłopcami na posyłki?

Któryś mruczy coś pod nosem, ale żaden nie odpowiada. Choć drażnienie ich pewnie nie jest najmądrzejszym pomysłem, liczyłam, że w ten sposób czegoś się dowiem.

No dobrze, trzymajmy się faktów, myślę, starając się, by wypadło to logicznie. Na razie nic mi nie zrobili. To znaczy jasne, jeden z nich mnie uderzył, ale pewnie by do tego nie doszło, gdybym nie użyła gazu pieprzowego. Poza tym, że zabrali mnie siłą z biura, nie wyrządzili mi krzywdy. Są raczej uprzejmi.

To jeszcze o niczym nie świadczy.

Zanim zdążę dojść do jakichś sensownych wniosków, samochód zatrzymuje się na poboczu jednej z nowojorskich ulic. Odruchowo chwytam za klamkę, ale po chwili przypominam sobie, że to nic nie da. Jeden ze zbirów posyła mi złośliwy uśmiech, po czym obaj wysiadają. Już zaczynam się zastanawiać, czy nie powinnam spróbować przejść na przednie siedzenie i tamtędy wysiąść, gdy któryś z mężczyzn otwiera drzwi po mojej stronie, a następnie zaprasza mnie na zewnątrz.

W zasadzie dobrze się składa, bo mam na sobie wąską, ołówkową spódnicę, a na nogach wysokie szpilki. Żle by mi się w tym czołgało na przednie siedzenie.

Opuszczam samochód i wrywam się, gdy jeden z osiłków próbuje mnie chwycić za ramię. Spoglądam na niego z oburzeniem.

— Potrafię jeszcze sama chodzić — mówię spokojnie.

Facet uśmiecha się drwiąco, a później podnosi dłonie, cofa się o krok i pokazuje, żebym szła przodem.

Rozglądam się dookoła. Jesteśmy na wąskiej ulicy gdzieś w West Village. Zatrzymaliśmy się obok lokalu z zieloną markizą, na której widnieje nazwa restauracji. Właśnie tam prowadzi mnie moja eskorta, a docierające z wnętrza smakowite zapachy sprawiają, że mój żołądek kurczy się z głodu.

Cholera, to chyba jakaś włoska knajpa. Uwielbiam włoskie jedzenie.

I od rana nic nie jadłam. Wtedy pomiędzy spotkaniami wmusiłam w siebie bajglą z szynką parmeńską i serkiem Philadelphia.

Spodziewam się tłoku, więc jestem zaskoczona, gdy po wejściu do środka okazuje się, że restauracja świeci pustkami. Czuję ukłucie niepokoju, patrząc na stoliki bez gości.

Dlaczego nikogo tu nie ma? Co ci ludzie chcą ukryć tak bardzo, że wypłoszyli wszystkich klientów? Co ja w ogóle mam z tym wspólnego?

Przystaję na moment i lustruję otoczenie: poza tym, że lokal jest pusty, wygląda całkiem przyjemnie i dość kameralnie. Królują w nim prostokątne stoliki przykryte kraciatymi obrusami, z kolei pod ścianą stoi kilka skórzanych kanap tworzących coś w rodzaju łóż. Kątem oka dostrzegam, że jeden ze zbirów ponownie próbuje złapać mnie za ramię, więc odsuwam się przezornie, a następnie ruszam przed siebie, choć nie mam pojęcia, dokąd idę.

Zauważam go dopiero po paru sekundach. W ostatniej łóży, najdalej od wejścia, siedzi jakiś człowiek i przygląda nam się z daleka. To musi być on.

Podnoszę głowę nieco wyżej i staram się opanować drżenie, żeby nie dostrzegł mojego strachu. Mężczyzna wstaje, kiedy podchodzimy, jakby tego właśnie wymagało od niego dobre wychowanie, i zapina marynarkę. Chryste, jest wysoki. Wyższy od swoich ludzi, co sprawia, że nawet w szpilkach muszę patrzeć do góry, by dobrze go widzieć. Ma krótko obcięte ciemnoblonde włosy oraz szare oczy tak jasne, że wydają się niepokojące. Opalony, z wydatnym nosem i ostro zarysowaną szczęką nie jest klasycznie przystojny, ale dostrzegam w jego rysach twarzy coś interesującego i pociągającego. Może chodzi o te pięknie wykrojone usta, a może o długie rzęsy, których mogłaby mu pozazdrościć niejedna kobieta — trudno powiedzieć. Mężczyzna ma na sobie szary trzyczęściowy garnitur, który leży na nim tak świetnie, że musi być szyty na miarę, jednak nawet w tym stroju widać, że jest dobrze zbudowany. Na oko dałabym mu jakieś trzydzieści pięć lat.

Staję tuż przed nim, próbując nie okazywać niepokoju. On tymczasem niespiesznie mierzy mnie uważnym spojrzeniem, zaczynając od twarzy i kończąc na czubków butów, po czym wraca do moich oczu. Zaraz potem jego wzrok skupia się na pękniętej wardze.

— Który z was to zrobił? — pyta, wskazując mnie głową.

Jeden z jego ludzi występuje do przodu.

— Psiknęła Paulowi w oczy gazem pieprzowym — usprawiedliwia się.

— Musiałem ją...

— ...obezwładnić? — dokańcza za niego mężczyzna z lekkim rozbawieniem. — Jeśli przerasta was proste polecenie przywiezienia do mnie bezbronnej kobiety i nie potraficie sobie z nią poradzić bez używania przemocy, to może następnym razem powinienem wysłać kogoś innego.

W jego głosie pobrzmiewa ostrzeżenie. Obaj podwładni doskonale je wyczuwają, bo wymieniają zaniepokojone spojrzenia. Mimo woli czują odrobinę satysfakcji.

Mężczyzna niecierpliwym gestem odprawia zbirów. Ci wycofują się, ale nie opuszczają sali. On tymczasem przenosi wzrok z powrotem na mnie.

— Przepraszam za tę sytuację, panno Dixon — mówi, wskazując mi miejsce na kanapie przy stoliku. — Powiedziałem moim ludziom, żeby przekazali pani zaproszenie na kolację. Nie wspominałem nic o przemocy fizycznej, którą najwidoczniej uznali za konieczną. Proszę się jednak nie przejmować: kiedy się nimi zajmę, nie przyjdzie im to więcej do głowy.

Więcej? Czy to oznacza, że on spodziewa się większej liczby spotkań?

Wpatruję się w niego bez słowa, nie wiedząc, co robić. Mam ochotę uciekać, ale równocześnie coś w tym mężczyźnie mnie intryguje. Chodzi chyba o to dziwne, pełne uprzejmości zachowanie. On w jakiś sposób sprawia, że ciągle stoję w miejscu, niezdolna do wykonania choćby jednego ruchu.

Zanim zdążę odpowiedzieć, w zapadłej między nami ciszy wyraźnie słysząc burczenie w moim brzuchu.

Mężczyzna unosi lekko kąciki ust.

— Nalegam, żeby zjadła pani ze mną kolację.

Dopiero wtedy udaje mi się odblokować.

— Nie jadam kolacji z nieznajomymi — protestuję.

Jestem z siebie dumna, że prawie w ogóle nie drży mi głos. Zupełnie jakbym nie bała się tego faceta, chociaż to nieprawda.

— Nazywam się William Wolfe. — Wyciąga dłoń w moim kierunku, a w jego oczach błyszczący zainteresowanie. — A pani...

— Bronte Dixon.

— Tak, oczywiście. — Kiedy nie podaję mu ręki, sam po nią sięga. Jego uścisk jest mocny, zdecydowany i wydaje mi się, że trwa odrobinę zbyt długo. — Rzeczoznawca dzieł sztuki. Wiem o pani to i owo. Proszę usiąść.

Nie spuszcza ze mnie wzroku, gdy posłusznie siadam na kanapie. On zajmuje miejsce po drugiej stronie stolika. Nie bez powodu wspominał, że jestem rzeczoznawcą. Cel, w jakim mnie tu „zaprosił”, musi mieć coś wspólnego z moją profesją.

Może jednak nie wpadłam w tarapaty.

— Chciałby pan skorzystać z moich usług? — pytam, kiedy William Wolfe macha na kogoś w oddali. Chyba na kelnera.

— Już to zrobiłem. — Uśmiecha się cierpko. — Nie wie pani?

Nic z tego nie rozumiem. Z pewnością pamiętałabym, gdyby moim klientem był ktoś taki. Koło tego faceta nie da się przejść obojętnie.

Przechyliłam głowę, zamyślając się na moment. Na pewno bym kojarzyła, jeśli widziałabym go wcześniej. Prawdopodobnie w ogóle nie chciałabym robić z nim interesów, bo ten człowiek nie wygląda na godnego zaufania.

Wygląda na gangstera.

Nie żebym kiedyś jakiegoś spotkała — raczej nie obracam się w tych kręgach — ale potrafię wyczuć zagrożenie, gdy jestem blisko niego. A ten mężczyzna bez wątpienia oznacza zagrożenie.

— No tak, rzeczywiście, licytowałem przez pośrednika — dodaje z krzywym uśmiechem, chyba widząc moje zagubienie. — Może pani nie kojarzyć. Basquiat, całkiem ładny obrazek, mówi to pani coś?

Powoli kiwam głową.

Wygląda na to, że William Wolfe jest jednym z trzech szczęśliwców, którzy kilka tygodni temu kupili od mojego narzeczonego na aukcji grafiki Basquiata. Chociaż nadal nie rozumiem, co to ma wspólnego ze mną ani dlaczego jestem na „spotkaniu” z nim, to już co nieco wyjaśnia.

Miałam w tych transakcjach swój udział. To ja załatwiłam Kieranowi miejsce w domu aukcyjnym i przeprowadziłam ekspertyzy. Dostałam za to pewien procent, ale ponieważ zrobiłam to po znajomości, był niewysoki. Nie chciałam wykorzystywać sytuacji.

To jednak nadal nie tłumaczy, dlaczego właśnie ja tu jestem.

— Oczywiście — potwierdzam spokojnie. — Ta aukcja była bardzo głośna.

— Wiem, że to pani wykonywała ekspertyzy potwierdzające, że grafiki są oryginalne. — William Wolfe opiera się o tył kanapy, nie spuszczając ze mnie wzroku. — Więc jak to możliwe, że są falsyfikatami?

W pierwszej chwili nie dociera do mnie to, co właśnie powiedział. Wpatruję się w niego tępo, próbując to przetworzyć.

O czym ten człowiek mówi?

Dopiero potem przychodzi gniew. Gangster czy nie, niebezpieczny facet czy nie, nie będzie podważał moich kompetencji!

— One nie są falsyfikatami — cedzę przez zęby. — Sama się co do tego upewniłam.

— Ach tak? — William Wolfe unosi brew. — Gdzie? W łóżku narzeczonego, który sprzedał te obrazki kolekcjonerom frajerom?

Piorunuję go pełnym oburzenia wzrokiem, jednak on nic sobie z tego nie robi.

Wprost nie wierzę, że ktoś może insynuować coś takiego! Spędziłam ostatnie dziesięć lat, ucząc się tego zawodu, odkąd tylko poszłam na studia, i żaden pewny siebie samiec alfa nie będzie sugerował, że jestem niekompetentna!

— Nie bardzo wiem, co to ma znaczyć — odpowiadam i nawet ja słyszę w moim głosie gniew. — Jeśli zamierza mnie pan obrażać, to wychodzę.

Nim zdążę wstać, czuję na ramieniu czyjś dotyk. Zamieram, po czym zerkam do góry — obok kanapy stoi jeden z ludzi Wolfe’a.

— Nigdzie pani nie pójdzie, dopóki nie wyjaśnimy sobie kilku spraw — odpowiada mój towarzysz chłodnym tonem, od którego dreszcz przebiega mi wzdłuż kręgosłupa. Nie jest przyjemny. Stanowi dowód na to, że wreszcie zaczynam rozumieć powagę sytuacji. — Zacznijmy od tego.

Rzuca w moją stronę cienką białą teczkę, która do tej pory leżała na kanapie obok niego. Łapię ją zręcznie i otwieram nieufnie, cały czas łypiąc na śmiertelnie spokojnego Williama Wolfe’a. Obserwuje mnie czujnie niczym jastrząb, jakby liczył na jakąś moją reakcję.

I ją dostaje.

Krew odpływa mi z twarzy, gdy spoglądam na dokumenty.

Nie. To niemożliwe.

— Mam własnego eksperta, który uważnie przyjrzał się mojemu nowemu nabytkowi — oznajmia z nutką znudzenia w głosie. — Jak pani widzi, jego ekspertyza wykazała, że grafika Basquiata, kupiona za, bagatela, pięć milionów dolarów, to bardzo zręczna... podróbka. Posiadam też dowody potwierdzające podrobienie pozostałych.

Rzucam teczkę na stół, czując, że moje serce zaczyna galopować jak szalone.

Chryste. Nie. To nie może być prawda.

Jeszcze nigdy się nie pomyliłam. Mam dobre oko, jeśli chodzi o malarstwo, zwłaszcza współczesne. Jasne, nie jestem ekspertem we wszystkim — nikt nie jest — ale potrafię zdobyć odpowiednie informacje i je zweryfikować, jeśli trzeba. Znam się na tym i wiem, co robię.

A jednak przedstawione przez Williama Wolfe’a dokumenty dobitnie świadczą o tym, że popełniłam błąd. Basquiat Kierana jest falsyfikatem. Świetnym, ale wciąż falsyfikatem. Jak mogłam to przeoczyć? Naprawdę bardzo się starałam, żeby uczucia do narzeczonego nie weszły mi w paradę. Chciałam być w każdym calu profesjonalna.

Nie mogę uwierzyć, że się pomyliłam. To kompletnie nie w moim stylu. Ponownie przeglądałam dokumenty, szukając jakiejś luki, która pomogłaby mi to zrozumieć, lecz nic z tego. Nie ma jej tam.

Pomogłam Kieranowi sprzedać trzy doskonałe falsyfikaty za piętnaście milionów dolarów łącznie.

Choć bardzo staram się nie pokazać po sobie prawdziwych emocji, chyba nie jest to możliwe, skoro ręce w końcu zaczynają mi się trząść. Chryste, będę skończona, jeśli to wyjdzie na jaw. Klienci nie będą chcieli mieć ze mną do czynienia, gdy się dowiedzą. Znajomości w domach aukcyjnych, w galeriach i wśród prywatnych kolekcjonerów przestaną istnieć. Środowisko mi tego nie zapomni. Takich błędów nie puszcza się w niepamięć.

Do tego piętnaście milionów dolarów plus odszkodowania! Jestem ubezpieczona, ale przecież nie aż na takie kwoty. Ogłoszę bankructwo i pójdę mieszkać pod most!

— Panno Dixon. — Do moich rozmyślań wdziera się natrętny niczym bzyczenie muchy głos Williama Wolfe’a. — Czy teraz pojmuje pani, dlaczego zaprosiłam panią na tę kolację?

Podnoszę na niego wzrok. W tej samej chwili kelner przynosi nam jedzenie oraz wino. Ledwie zwracam uwagę, że wino jest czerwone, a danie to jakiś rodzaj makaronu z owocami morza. Żołądek mam już tak ściśnięty z nerwów, że wątpię, bym była w stanie cokolwiek w siebie wcisnąć.

On jest jednym z tych „frajerów”, których Kieran naciągnął na pięć milionów dolarów. Ten facet wyglądający na gangstera. I ma mnie w swoich rękach.

Robi mi się gorąco i zimno na przemian. Szczękam zębami, dlatego czym prędzej je zaciskam, żeby William Wolfe tego nie zauważył.

Nie pokazuj po sobie strachu, przemyka mi przez głowę. On właśnie na to liczy.

— Zaczynam — przyznaję po chwili i jestem z siebie bardzo dumna, bo głos prawie wcale mi nie drży. — Ale to nie ode mnie kupił pan grafikę. Sprzedającym był Kieran Lewis. Jego należy pociągnąć do odpowiedzialności.

— Pani jednak poświadczyła, że Basquiat to oryginał, przez co mój pełnomocnik dał się nabić w butelkę. — Na jego ustach błąka się lekki uśmieszek, jakby Wolfe wiedział, że kontroluje tę rozmowę. No cóż, ja nadal nie mam pojęcia, do czego ona zmierza. Facet każe mi oddać te pięć milionów? Choć jestem dobrze sytuowana, daleko mi do posiadania takich oszczędności. — A co do pani narzeczonego... Kieran Lewis zapadł się pod ziemię, ale pani z pewnością doskonale zdaje sobie z tego sprawę.

Sapię zaskoczona.

Wiem z tego powodu nie dzwoni? Z tego powodu od czterech dni nie daje znaku życia? Nie dlatego, że coś mu się stało, nie dlatego, że z kimś zabalował, tylko dlatego, że oszukał mnie oraz moich klientów na piętnaście milionów dolarów i zwiął gdzie pieprz rośnie?!

Wprost nie wierzę, że jestem taką idiotką. W przeszłości faceci rolowali mnie wielokrotnie, jednak tego typu sytuacja zdarza mi się po raz pierwszy. Jak mogłam dać się wpłatać w coś podobnego?! Przecież ten palant może mi zniszczyć całe życie! Tu nie chodzi jedynie o nasz związek, ale o moją pracę, karierę i przyszłość!

Dobrze, że dupek zapadł się pod ziemię, bo inaczej udusiłabym go gołymi rękami.

— Ja nie... — Milknę, zastanawiając się, co odpowiedzieć. Próbuję zebrać myśli. — Nie rozumiem, dlaczego miałabym o tym wiedzieć.

William Wolfe się śmieje, jednak bez wesołości.

— Może dlatego, że jest pani jego współniczką? — podsuwa. — Błagam, proszę nie robić ze mnie durnia. Albo pani z nim to zaplanowała, a on zostawił panią na pastwę losu, albo jest pani zakochaną w oszuście idiotką.

Cóż, to prawda. Trzecia opcja nie istnieje.

— Ma pani dobre opinie na mieście — kontynuuje tymczasem mój rozmówca, nie czekając na odpowiedź. — Zapewne z tego powodu mój pełnomocnik wybrał aukcję poświadczoną właśnie przez panią. Trudno

mi więc uwierzyć, że to przypadek. Chciała pani wraz z narzeczonym ugrać coś na kolekcjonerach frajerach, zgadza się? A on zwał z forszą i zostawił panią na lodzie.

Chyba jednak dostanę ataku paniki, chociaż to nigdy mi się nie zdarzyło.

A więc może być gorzej. Mogę zostać nie tylko najbardziej niekompetentnym rzeczoznawcą dzieł sztuki od czasu przewodniczącego Instytutu Amadeo Modiglianiego, ale też oszustką, naciągaczką i współniczką gościa, który zgarnął za falsyfikaty piętnaście milionów dolarów i uciekł w siną dal.

Po moim trupie. Nie stanę się taka jak mój ojciec, zwłaszcza że nie zrobiłam nic złego poza tym, że popełniłam błąd i zaufałam kolejnemu mężczyźnie, który absolutnie na to nie zasługiwał.

— Nie miałam o tym pojęcia — odpowiadam, dumnie unosząc głowę. — Również jestem w tej sytuacji ofiarą. Przysięgam, popełniłam błąd i nie zauważyłam, że grafiki to falsyfikaty. Jednak nie zrobiłam tego celowo i nie czerpałam z tego żadnych korzyści. Więc jeśli pan chce, może mnie pan nazywać zakochaną w oszuście idiotką.

Chociaż trudno powiedzieć, czy faktycznie jestem lub byłam zakochana w Kieranie. Moje uczucia nie bywają raczej tak mocne. Ale naprawdę się do niego przywiązałam i jego zdrada boli.

Czy planował to przez cały ten czas, gdy byliśmy razem? Czy wpadł na ten pomysł później i postanowił mnie po prostu wykorzystać? Jakim cudem stałam się narzędziem w rękach oszusta?

Nie jestem w stanie pojąć, jak mogłam dać się tak podejść.

— Chyba nie chcę — protestuje William Wolfe. — Nie wygląda pani na idiotkę. A biorąc pod uwagę pani koneksje, jestem skłonny pani nie uwierzyć.

Prycham z oburzeniem.

— Mam nieposzlakowaną opinię w branży, w której obracam się od lat! Wolfe uśmiecha się paskudnie.

— Ależ oczywiście. Dokładnie panią sprawdziłem, panno Dixon — stwierdza z przekąsem, po czym dodaje: — A może powinienem powiedzieć „panno Harris”?

PROGRAM PARTNERSKI

— GRUPY HELION —

- 
1. ZAREJESTRUJ SIĘ
 2. PREZENTUJ KSIĄŻKI
 3. ZBIERAJ PROWIZJĘ

Zmień swoją stronę WWW w działający bankomat!

Dowiedz się więcej i dołącz już dzisiaj!

<http://program-partnerski.helion.pl>

GRUPA
Helion 

MIAŁA BYĆ TYLKO PIONKIEM NA PLANSZY JEGO BIZNESU. STAŁA SIĘ KIMŚ O WIELE WAŻNIEJSZYM



Podobno sztuka łagodzi obyczaje. Z pewnością nie dotyczy to Williama Wolfe'a, gangstera i... kolekcjonera. To człowiek, który nie tylko nosi drapieżne nazwisko — potrafi być naprawdę niebezpieczny, zwłaszcza gdy ktoś próbuje go oszukać. Na przykład sprzedać mu podrabianą grafikę. Taki błąd popełnił Kieran, narzeczony Bronte Dixon. W dodatku wmanewrował rzeczoznawczynię w potwierdzenie autentyczności obrazu, po czym zniknął. A to oznacza, że teraz ona ma poważne kłopoty. Nie dość, że o nielojalności narzeczonego dowiaduje się od bandyty, to jeszcze William Wolfe oczekuje od niej, że odpracuje dla niego dług Kierana. Dług wynoszący, bagatela, pięć milionów dolarów. Sytuacja nie do pozazdroszczenia, tym bardziej że gangster wie o przeszłości dziewczyny coś, co powinno pozostać tajemnicą. I nie zawaha się skorzystać z tej wiedzy, jeżeli Bronte mu się sprzeciwi...

Patroni medialni:



ebook dostępny na:

ebookpoint

ISBN 978-83-283-9373-8



9 788328 393738

Cena: 44,90 zł